

Byłem w Polsce – 17

11 sierpnia 2018

Wyjeżdżałem z głową pełną myśli. Tyle razy byłem świadkiem różnych odjazdów i pożegnań, a teraz sam wyjeżdżałem i byłem jednym z wielu, którzy żegnali to małe, podkarpackie miasteczko na zawsze. Bo jakbym się sam nie mamił i nie oszukiwał to i tak miałem prawie pewność, że tu nie wrócę.

I nie dlatego żebym nie chciał, albo na siłę bronił przed ponowną wizytą! Nic podobnego! Po prostu czułem, że taka okazja raczej się już nie zdarzy. Może się zresztą mylę – kto to wie?

W każdym razie wyjeżdżałem. Z tej okolicy ludzie wyjeżdżali od niepamiętnych czasów. Uciekali od biedy, jechali żeby sobie warunki życia poprawić i wyjeżdżali, bo wyganiały ich jakieś nienawiści, kłopoty czy inne życiowe zawirowania.

Głównie do Ameryki, ale również do Francji, Niemiec, Belgii a nawet całkiem daleko bo do Australii czy Argentyny. Niektórzy z nich wracali, inni wyjeżdżali na zawsze a jeszcze inni przyjeżdżali z wizytami – ot coś tak jak ja z tymi moimi odwiedzinami – z tą tylko różnicą, że oni wracali do rodzin, a ja do grobów.

Gdzieś w połowie lat sześćdziesiątych przyjechał z taką wakacyjną wizytą niejaki Zenek P. – syn jednego z gospodarzy, który po 1945 nie wrócił z robót w Niemczech i wylądował w Stanach. Jak się szybko okazało Zenek nazywał się teraz Ziggy i podobno miał w Chicago sklep jubilerski!

Wieść rozeszła się szybko i szeroko i wzbogaciła o stugębną plotkę.

„Sklep ma! I to jubilerski!”

„A co to takiego? Jaki sklep?”

„A to taki gdzie złoto sprzedają!”

„Złoto?!? Boże jedyny – toż jak on złoto w Hameryce sprzedaje to musi na dularach spać!”

I trzeba przyznać, że Ziggy wszystko robił, żeby tę plotkę utrzymać a nawet ją wzbogacić.

Przede wszystkim kaleczył polski język przeokropnie. W każdym zdaniu wtrącał angielskie słowa i cały czas powtarzał „sure”. Gdy ktoś się go o coś pytał odpowiadał dopiero po długim „Sooo...”. Ubrany był “po amerykańsku”, palił amerykańskie papierosy, a na palcach miał złote sygnety. Czysty Amerykanin. A jak jeszcze włożył swoją kraciastą marynarkę i żółte spodnie to nic tylko podziwiać jaki to autentyczny Jankeś do nas zawitał.

Przede wszystkim zaś przywiózł prezenty! A to kupon materiału, a to zegarek, a to bluzkę, jakąś chusteczkę, skórzany portfel, nakręcanego misia, układankę i wiele innych. Wielkie walizy ledwo się zmieściły do taksówki, która przywiozła go wprost z warszawskiego Okęcia. Całe trzysta osiemdziesiąt kilometrów, ale co to było dla Ziggy’ego? Małe piwko!

Po przyjeździe i namaszczonej rozdaniu prezentów zaczęła się uczta, która trwała cały tydzień! Nawet obcy ludzie tłoczyli się w drzwiach i oknach żeby choć trochę, choć przez chwilę popatrzeć na “Amerykanina”!

„Złoto sprzedaje! W Ameryce!” – rozlegało się od czasu do czasu.

A inni dziwili się jakby zobaczyli ducha:

„Przecież to Zenek! Zwykły Zenek, Frankowy chłopak! Nicpoń był za sanacji a teraz patrzajcie się ludziska – toż to panisko całą gębą!”

A Ziggy balował jakby nie było jutra. Pieniądze nie grały roli, wódka lała się wartkim strumieniem i to nie jakaś

czyściocha, ale najlepsze trunki jakie można było kupić w Spożywczym. VAT69, brandy, koniaki – wszystko to co na półkach sklepu stało zakurzone od niepamiętnych dni – wszystko to teraz było wykupywane przez Zenka-Ziggy. Nikt tego u nas nigdy nie kupował, bo piło się czystą, a tylko od święta jarzębiak, albo – ale to już bardzo rzadko – Soplicę. Nikt nigdy nie miał w domu żadnego “barku”, bo kupowało się do wypicia a nie na zapas – no chyba, że na wesele – ale Ziggy zaraz po przyjeździe powiedział, że „u nas w Ameryce każdy ma barek, więc w ojcowej chałupie też musi być”.

– Barek – powtarzano z nabożeństwem – barek – słyszane to rzeczy? A czegoż on teraz nie Zenek, tak jak go ochrzcili tylko jakowyś Zigi???

Dolar na czarnym rynku kosztował wtedy 100 złotych a zarabiało się powiedzmy dwa tysiące na miesiąc.

Liczono, przeliczano i wychodziło na to, że Ziggy przywiózł tyle pieniędzy, że całą wieś by kupił i jeszcze by mu na dobrą wódkę zostało! Tak mówiono.

Ale po dziesięciu dniach wizyta dobiegła końca. Ziggy zmarnowany jak nieboskie stworzenie, z kacem przekraczającym ludzkie wyobrażenie, szykował się do wyjazdu. Wezwana taksówka czekała a zebrany tłum żegnał swojego dobroczyńcę. I trzeba powiedzieć, że nie był w tym zbytnej przesady, bo Ziggy kupował ludziom pralki, radia, buty i co tam ktoś potrzebował. Paru krewniakom dał pieniądze na cement do budowy, paru innym kupił jakieś gospodarskie narzędzia, jednym słowem wyjeżdżał syt sławy i chwały, żegnany ludzką wdzięcznością i ojcowym błogosławieństwem, bo ojciec chociaż sędziwy ciągle jeszcze trzymał wszystko krzepką ręką i nawet od Ziggy’ego wymagał szacunku i posłuszeństwa.

– Jedź Zenuś do tej swojej Hameryki, złoto przedawaj i o rodzinie w kraju ojczystym nie zapominaj!

Z takimi słowami wyjeżdżał.

I opowiadano mi, że wtedy gdy już miał wsiąść do taksówki z tłumu żegnających wyrwała się nagle jakaś młoda dziewczyna z rozpaczliwym, histerycznym wrzaskiem:

– Wujku, wujku ja wujka nie puszczę, nie puszczę!!!

I tak krzycząc rzuciła mu się na szyję i kurczowo przywarła do niego całym ciałem. Ziggy trochę się bronił, ale będąc skacowanym jak “południowo-amerykański żuk piaskowy” nie miał siły! Ktoś rzucił się odrywać dziewczynę, ktoś krzyknął żeby Ziggy wziął ją ze sobą, ale chwila przedłużała się prawie niepokojąco.

Wreszcie Ziggy uwolnił jakoś rękę, wyciągnął 50 dolarów i dał dziewczynie.

Płacz i wrzask ustał jak nożem uciął. Dziewczyna popatrzyła na banknot i szybko cofnęła się poza tłum. I co najciekawsze – jak się potem okazało – nie była dla Zenka żadną krewną! Ot, obca dziewczyna – gdzieś chyba nawet z innej wsi.

Ale ta kolorowa wizyta Ziggy’ego nie była jedyną. Prawie co roku gdzieś, ktoś gościł „wujka z Ameryki”.

Na co dzień „wujkowie” przysyłali paczki i listy. Czasem gdy były pisane po angielsku czy francusku, odbiorcy zjawiali się u moich dziadków z prośbą o tłumaczenie czy napisanie odpowiedzi i nigdy nie spotkali się z odmową. Babcie mówiły płynnie po francusku, niemiecku i całkiem dobrze po angielsku. Zdarzyło się nawet, że zjawił się ktoś z listem pisanym po hiszpańsku, bo “wujek” wyjechał do Argentyny i moja babcia też sobie z nim poradziła.

Co do paczek, to “wujowie” przysyłali, trochę bez pojęcia, różne delikatesy, których chłopci nie jadali. Figi, daktyle, wanilia, czekoladę Sucharda w proszku i w tabliczkach, kakao i inne. Od tych smakołyków woleli gotówkę, więc przynosili je do sprzedaży. Niektóre z nich moja mama kupowała do wypieków, albo na rozdawanie po rodzinie – nie pamiętam. Myślę jednak,

że raczej chodziło o zwykłą pomoc.

Najlepsze co otrzymywali to były listy z załącznikami. Przychodziły jednodolarówki, dwójki, a na święta trafiała się czasem dziesiątka i to była realna pomoc, na którą podkarpacka wieś czekała.

Wszystko to – jak się szybko zorientowałem – należało teraz do zamierzchłej przeszłości, bo nikt już “amerykańskim wujostwem” nie mógł zaimponować. Zresztą starzy powymierali, a młodzi wyjeżdżali za granicę tak łatwo i często jak kiedyś jeździło się na ten przykład do Przemyśla czy Sanoka. Dolar ma inną wartość, a polskie sklepy są lepiej zaopatrzone niż amerykańskie.

A zresztą co tu dużo gadać – wystarczy przypomnieć tę piękną dziewczynę z torbą Michaela Kors na wiejskiej drodze koło Ulucza. Wystarczyło też przyjrzeć się napotykanym samochodom, motocyklom czy kombajnom rolniczym, żeby powiedzieć, że to jest inny świat!

Prawie zaraz za miasteczkiem zatrzymaliśmy się przy kapitalnej, przydrożnej restauracji „Pod Semaforem” na pierogi. To już były rogatki miasta i definitywnie ostatnia szansa popatrzenia na znajome pogórze.

Od tego momentu nasza droga skręcała w kierunku Łańcuta.

Zaczęliśmy się zatem oddalać od Sanu, znajomych wzgórz i moich rodzinnych stron.

Przez pewien czas widać jeszcze było wznoszącą się po drugiej stronie Sanu górę Winnicę, ale po pewnym czasie zniknęła i ona.

Droga do Łańcuta ciągnie się przez Szklary, Dylągówkę i urocze Hyżne, które w czasach okupacji i powojnia miało opinię najlepszego miejsca do ukrycia się.

Dlaczego tak było – trudno powiedzieć – ale lesiste wzgórza

poprzecinane głębokimi parowami, zagubione w lasach ścieżki i oddalenie od głównej drogi rzeczywiście sprawiało wrażenie bezpieczeństwa.

Miejscowa młodzież garnęła się wtedy do różnych formacji, które przyjmowano raz lepiej raz gorzej i w rzeczy samej nikt już nie wiedział kto i dlaczego jest dobry, a kto i dlaczego zły. Było więc rzeczą poniekąd naturalną, że ktoś czuł potrzebę ucieczki, kogoś szukano, komuś grożono, a jeszcze ktoś czuł się zagrożony.

Wiemy o co chodzi – ostatecznie to są nasze, polskie sprawy, które nie wymagają analiz i tłumaczeń, bo każdy ma o nich swoje zdanie.

Jako mały chłopak widywałem uczestników tamtych wojennych wydarzeń, słuchałem co mówili i nie ukrywam, że w wielu przypadkach bardzo mi imponowali. Tak jak wspominałem, niektórzy z nich nigdy nie zarzucili swojego „leśnego” stylu – nosili oficerki i bryczesy, a w dni świąteczne marynarki czy skórzane kurtki.

Do dziś pamiętam jednego z nich, którego szalone konne jazdy i wygląd „watażki” był przedmiotem mojego podziwu i zazdrości. W duchu marzyłem o oficerkach, bryczesach, rozchełstanej na piersiach koszuli i szalonym galopie po okolicznych polach!

Wielu z nich było kolegami i koleżankami mojej mamy, która jeszcze jako panna też udzielała się w różnych akcjach, a w szczególności przy przejmowaniu lotniczych zrzutów, które miały wspomagać partyzantów.

No więc przy paru okazjach słyszałem, że jeśli się ukryć to tylko w Hyżnem! Pojęcia nie mam dlaczego tak mi to utkwiło w głowie.

Teraz, gdy w październiku 2017 jechaliśmy do Łańcuta, po tamtych odległych czasach wszelki słuch już dawno zaginął, ale jesienny las, wzgórza i senne wioski coś mi przypominały, coś

przywoływały i nie wiedzieć czemu zacząłem nucić dawne piosenki, które za czasów mojego dzieciństwa moja mama śpiewała tak często: „Nie srebro, nie złoto...”, „Ajajaj”, „Pomnę dzieciństwa sny niewysłowne...” i inne.

Zadziwiające jak piosenki czy w ogóle melodie przywołują wspomnienia!

Autorstwo: Marcin Baraniecki

Źródło: Goniec.net